

Grzegorz Wysocki

Timorskie opowieści

O tym, że Timor Wschodni nie ma szczęścia do prasy, nie trzeba nikogo przekonywać. Spróbujcie sobie przypomnieć, kiedy ostatnio mieliście okazję czytać teksty poświęcone temu maleńkiemu wyspiarskiemu państwu leżącemu na północ od Australii, a nie będziecie mieć żadnych wątpliwości, że książki takie jak *Dom nad rzeką Loes* Mateusza Janiszewskiego są swego rodzaju „uzupełnieniem luk”. Mógłbym oczywiście w tym momencie z masochistyczną przyjemnością rozwodzić się na temat nierównego pojedynku między tabloidyzującymi się mediami a reporterami, którzy uparcie wyprawiają się na drugi koniec globu i opisują miejsca, które rzekomo nikogo nie obchodzą, ale nawet najbardziej rozzwierające lamenty niewiele tutaj zmieniają.

A fakty są następujące: w sierpniu 1999 roku odbywa się na wyspie niepodległościowe referendum. Zdecydowana większość mieszkańców (78,5 proc.) opowiada się w nim za niepodległością. Po ogłoszeniu wyników w pogromach wspieranych przez indonezyjską armię giną dwa tysiące osób. Do końca zamieszek dach nad głową straci ponad sto pięćdziesiąt tysięcy osób, prawie jedna szósta populacji wyspy. Janiszewski twierdzi, że w polskiej prasie o tych wydarzeniach znalazł dwie wzmianki. W tym samym roku korespondentem w Timorze Wschodnim była Ros Wynne-Jones, która wspominała, że skontaktowała się ze swoją gazetą po tym, jak zdobyła dowody na temat masakry dokonanej przez członków Aitaraku: „Redaktor działu zagranicznego odpowiedział radosnym głosem, który nie pozostawiał pola do dyskusji: dziś nie mamy miejsca na wiadomości od ciebie – księżniczka Fergie i książę Andrzej wracają do siebie”.

Autor *Domu nad rzeką Loes* nie pojechał na wyspę po to, by prowadzić własne reporterskie śledztwo, stać do redakcji obszerne korespondencje i zdobywać dowody zbrodni, a następnie nagrody dziennikarskie za upublicznienie tychże. Nie, Janiszewski pracował w Timorze Wschodnim jako lekarz wolontariusz w klinice doktora Dana Murphy’ego. Nikt go tutaj nie przysłał, nie stała za nim żadna organizacja, nie należał do misji, więc już na granicy, gdy na pytanie żołnierza (*Who are you with?*) udzielił najgorszej możliwej odpowiedzi („Sam”), dowiedział się, że jest nikim i musi radzić sobie na własną rękę. Pierwszego wieczoru w klinice operował kilkunastoletniego chłopca, kolejną ofiarę przemocy, która na Timorze jest codziennością, normą, chlebem powszednim. Nikogo nie

dziwi, nie prowokuje do dalszych dociekań, po prostu jest. Już po wszystkim Janiszewski spytał: „Gdzie mogę go odesłać na tomograf?”. Kilian, irlandzki wolontariusz, wybuchnął śmiechem.

*

„Krew, ropa, brud i ból” – tak najkrócej można by scharakteryzować pracę lekarza w Dili, stolicy Timoru Wschodniego. Człowiek-blizna, którego Janiszewski spotyka w klinice, prezentuje swoje rany. Tutaj postrzelili go Japończycy, a największą szramę na szyi „zdobył” w 1975 roku. „W 1999 roku połamali mu nogi, które się źle zrosły; poparzone dłonie pokryte łuszczącą się różową skórą – jeszcze w trakcie gojenia po zamieszkach w maju tego roku, 2006. Najbardziej bolały go pierwsze blizny. Każde pierwsze bolą, później stają się normą” – czytamy. Autor *Domu nad rzeką Loes* przygląda się z empatią i uwagą timorskim bliznom różnego rodzaju – nie tylko dosłownie leczy rany (Janiszewski-lekarz), ale też próbuje prześledzić historię blizn, którymi naznaczony został cały kraj i każdy z jego mieszkańców osobno (Janiszewski-reporter). Próbuje zrozumieć, na czym polega i gdzie rodzi się na wyspie przemoc („Mężowie biją żony, żony biją dzieci. Pięściami po twarzy. [...] Ale okrucieństwa się nie widzi. To pojęcie, którego nikt tu nie rozumie”). Próbuje poradzić sobie z „codzienną dawką nieszczęścia, rozpadu, zgnilizny, biedy i śmierci”, od której – również bez większych sukcesów – próbuje od czasu do czasu uciekać (wyjazd do wioski nad brzegiem morza, nieliczne „karaibskie chwile”, kapitalnie opisana przyroda itd.).

Powtarzam, że to wszystko zaledwie „próby”, nachalnie i z pełną premedytacją. *Dom nad rzeką Loes* jest bowiem przede wszystkim pełnym autotematycznych uwag zapisem wysiłków, kroniką zmagania podważającą poniekąd sens reporterskiej roboty, zestawem pytań bez odpowiedzi lub – co może jeszcze gorsze – z licznymi odpowiedziami, często wzajemnie sprzecznymi, tylko pogłębiającymi chaos i dezorientację. Pojąć Timor Wschodni; pojąć, a następnie zapisać i wytłumaczyć go nam, leniwym ignorantom z Pierwszego Świata? Niemożliwe. „Domagali się od niego faktów, jakby fakty mogły cokolwiek wytłumaczyć!” – te słowa z *Lorda Jima* wykorzystał Janiszewski w motcie i doprawdy trudno o lepszy komentarz oddający dziennikarski sceptycyzm i krytycyzm autora.

Janiszewski jest reporterem jednocześnie zaangażowanym i wątpięcym, emocjonalnym i wycofanym, walczącym o lepszy kształt świata (chodzi nie tylko o wolontariat, ale też o ostre słowa wymierzone w przemysł humanitarny, w metody działania i efekty pracy ONZ czy w rząd Stanów Zjednoczonych), a zarazem pozbawionym złudzeń, że ów nowy wspaniały świat leży w zasięgu ręki.

Autor *Domu nad rzeką Loes* sam często błądzi i nie rozumie, więc trudno się dziwić, że również czytelnicy mogą się czuć zagubieni. Rozczarują się wszyscy oczekujący pełnego atrakcji i tropikalnych przysmaków przewodnika po wyspie, linearnego wykładu historii czy opisu obyczajów miejscowej ludności. Janiszewski komplikuje, zamiast ułatwiać, pyta, zamiast odpowiadać, mnoży wątpliwości, zamiast podsuwać gotowe rozprawki na temat. Nie jest to reportaż wzorcowy – można się przyczepić choćby do chaotycznej, pokawałkowanej narracji, przydarzających się autorowi efekciarskich i przekombinowanych zdań, rozczarowującego, koniec końców, refrenu z tytułowym „domem nad rzeką” w roli głównej czy nieco irytującej manieri pisania o sobie w trzeciej osobie – ale całościowo tom zdecydowanie się broni, nawet jeśli odczuwamy pewien czytelniczy niedosyt.

*

Podczas swego pobytu w Timorze autor *Domu nad rzeką Loes* zaczyna kolekcjonować miejscowe opowieści, lokalne mity, podania i legendy. Któregoś dnia, notując kolejną z historii, uświadamia sobie, że to zajęcie nie ma sensu. „Takiego lasu i takiej ciemności napisać się nie da” – mówi. Opis jest niemożliwy. „Opowieści timorskie” – tak banalnie, a zarazem wieloznacznie mogłaby się nazywać ta książka. Sam autor, pisząc o zamachu na prezydenta Ramosa-Hortę, przyznaje, że mamy do czynienia z jeszcze jedną timorską opowieścią. Nie chodzi wcale o to, gdzie się wydarzyła, ale jak została opowiedziana.

„Na samym końcu owej historii są dwa ciała, a Ramos-Horta jedzie do szpitala z postrzałem brzucha. Reszta to kontrapunkt narracji, plątanina wątków [...]. Ta siatka wzajemnych powiązań nic nie wyjaśnia, zagęszcza się z każdą minutą [...]. Trzeba zapytać ludzi. Po to tylko, by usłyszeć sprzeczne racje, jedyne słuszne” – czytamy. I jeszcze fragment z innego rozdziału, w którym Janiszewski uderza wprost: „Stoi bezradnie z ołówkiem w ręku, próbuje uchwycić prawdę, ale fakty mu umykają, rozplątują się w zawikłanych opowieściach. Ledwie coś zapisze, a wielość się spłaszcza, zamienia w pulsujący *dron*, dudnienie odległe od czczonej przez wszystkich czystej nuty faktu. Nie brak reportaży i relacji brzmiących krystaliczną melodią prawdy, majstersztyków dziennikarstwa, które stawiają gawędziarzy pod ścianą i wyciągają z nich samo sedno istotności. Należy się im szacunek, ale trzeba też wypowiedzieć pod ich adresem ostrzeżenie. Nie są niczym więcej jak tylko wyborem, zapisem wyabstrahowanej historii, pojedynczą nitką wplecioną ze wzoru *thais*”.

Mateusz Janiszewski, *Dom nad rzeką Loes*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2014, s. 144.

Grzegorz Wysocki (ur. 1985) – krytyk literacki, dziennikarz, felietonista, redaktor działu książki w Wirtualnej Polsce. Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Dużym Formacie”, „Książkach”, „Tygodniku Powszechnym”, „Polityce” i „Dwutygodniku”.

Publikacja udostępniana jest na zasadach licencji Creative Commons (CC) Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach 3.0 Polska[CC BY-SA 3.0 PL]

